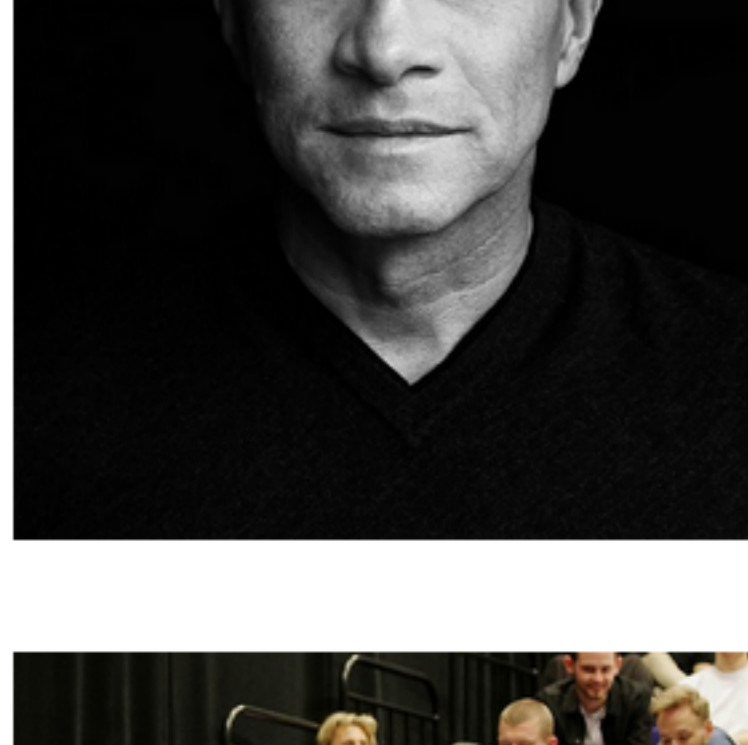
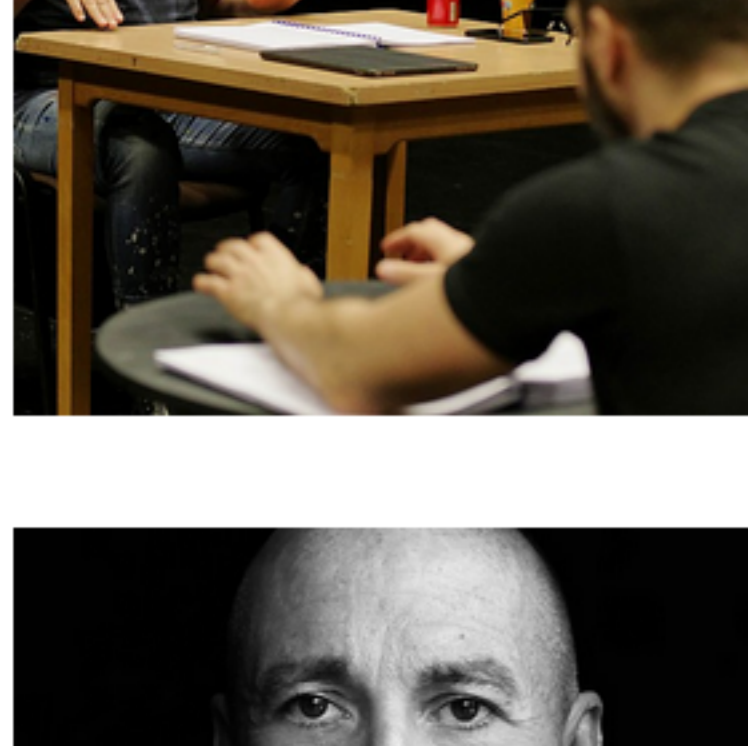




BROADWAYOWSKI ROZMACH W TEATRZE MUZYCZNYM

W Teatrze Muzycznym w Gdyni trwają intensywne przygotowania do premiery amerykańskiego musicalu „Something Rotten, czyli coś się psuje”. Na Dużej Scenie z początkiem września zagości nowy tytuł, o którym w rozmowie z Joanną Bieńkowską opowiada reżyser spektaklu – Tomasz Dutkiewicz.

AUTOR:
Joanna Bieńkowska



Zapytam przewrotnie: co się psuje w „Something Rotten”?

Należy zacząć od tego, że sam tytuł jest przewrotny, nawiązuje bowiem do jednego z dramatów Szekspira i słynnego „something rotten in the state of Denmark”, po polsku w najbardziej popularnym tłumaczeniu: „coś się psuje w państwie duńskim”. Rzecz dzieje się w renesansie, w czasach elżbietańskich i sam Szekspir jest wpleciony w to całe przedsięwzięcie w sposób dowcipny. Co się psuje? Psuje się wszystko. Nie chcę tutaj zdradzać szczegółów przedpremierowo w każdym razie główny bohater dąży do osiągnięcia sukcesu i chce wiedzieć, jak napisać genialny utwór, który przyniesie mu sławę. Posuwa się w tym celu do niezbyt oczywistych praktyk - udaje się bowiem do wroża, który w bardzo specyficzny sposób snuje przed nim opowieść, jak powinien tego dokonać. I to jest właśnie powodem tego tytułowego psucia. Cała historia jest niezwykle zabawna, inteligentnie przewrotna. Choć na pierwszy rzut oka może wydawać się banalna, jest błyskotliwą satyrą na współczesną popkulturę, gatunki dramatyczne.

Tych odniesień i kontekstów kulturowych jest chyba naprawdę wiele...

Ogromnie dużo. Myślę, że dla każdego widza, nawet widza anglojęzycznego, zanurzonego w kulturze anglosaskiej, te konteksty nie będą w pełni do odczytania. Tylko ktoś bardzo głęboko zakorzeniony w musicalu będzie w stanie odczytać trafnie wszystkie odniesienia. Nie oznacza to absolutnie, że widzowie nie będą się świetnie bawić - możliwość odczytywania tych ukrytych znaczeń będzie po prostu dodatkowym atutem. Staraliśmy się oczywiście dopasować przekład do polskiego widza, bo część widzów nie jest u nas znana szerokiej widowni, dlatego są też odniesienia do polskich tytułów. Przyjemnością będzie więc dwojakiego rodzaju - zabawa, którą będą powodowały zbitki słowne, plus choreografia oraz te erudycyjne odniesienia do historii musicalu.

Zapowiada się wizualna uczta - szyte są właśnie kostiumy na wzór strojów z epoki elżbietańskiej, które tworzą Anna Adamek i Martyna Kander.

W tym musicalu poruszamy się w sferze końcówki XVI-wieku, ale jest całe mnóstwo współczesnych odniesień, celowych stylistycznych złamań, które mają nieco wybić widza z tego komfortu historycznego - i to samo odzwierciedla się w kostiumach. To są właściwie stroje z epoki elżbietańskiej, ale bardzo często z jakimiś pojechanymi współczesnymi dodatkami. Taka jest też i treść piosenek, dialogów - np. londyńskie przekupki śpiewają, że pojawiły się nowości w sferze AGD i pokazują oczywiście sprzęty z epoki, ale werbalnie nawiązują do czasów współczesnych. Postać Szekspira jest z kolei wzorowana na współczesnych idolałach pop kultury, można poczuć się jak na Wembley, ponieważ on był właśnie takim protoplastą dzisiejszego celebryty. Tych odniesień jest wiele więcej i myślę, że to właśnie świadczy o atrakcyjności tego musicalu, jego dużej dozie inteligentnej debiżywalności, którą staramy się cały czas przemycać w każdym możliwym momencie. Bawimy się stylistyką, formą.

Takie właśnie stroje to pomysł twórców polskiej prapremiery, czy podobnie rzecz się miała na Broadwayu?

Robimy musical napisany przez określonych autorów w określonej stylistyce, natomiast nie jest to absolutnie musical typu copy paste, jeden do jednego przeniesiony z Broadwayu. Mamy inną scenografię, inne - choć osadzone w epoce - kostiumy, staramy się oddać ducha musicalu, nie kopiując pewnych środków. Natomiast te wszystkie wrzutki współczesne są jak najbardziej świadome i pozostają w zgodzie z tym, co jest zawarte w pierwowzorze. Mogę bez fałszywej skromności powiedzieć, że nie mamy czego się wstydzić. Sposób inscenizacji, gra aktorska, choreografia - to wszystko będzie na broadwayowskim poziomie, bo inaczej nie byłoby sensu tego robić, zniszczylibyśmy wtedy świętą materię tego musicalu. Z jednej strony podchodzimy więc z pełnym szacunkiem do materiału muzyczno-literackiego, który mamy, z drugiej zaś robimy go po swojemu, w sposób niczym nie ustępującym pierwowzorowi.

„Something Rotten” to tytuł aż dziesięciokrotnie nominowany do nagrody Tony, m.in. w kategorii najlepszy musical. Czyje pan ciężar odpowiedzialności, czy udaje się panu pracować z „czystą kartą”?

To materiał świetnie napisany w warstwie muzycznej, jak i literackiej, ale też świetny wykonawczo. Miałem okazję obejrzeć ten tytuł na Broadwayu i wiem, z czym się mierzę. Z drugiej strony, mając ten respekt i świadomość materiału, z którym mam do czynienia, nie przypadkiem zdecydowałem się na robienie go właśnie w Gdyni. Uważam, z pełną odpowiedzialnością, że tutaj można go zrobić równie dobrze, przy użyciu środków, które możemy w tym celu zagwarantować i przy użyciu twórców i artystów Teatru Muzycznego, którzy mają wypełnić swoim talentem i osobowościami przestrzeń sceny i opowiedzieć tę historię. Ten musical ogromnie mnie kręci, praca nad nim sprawia mi przyjemność. Nie mogę też non stop być stremowany i myśleć: „O Boże, w Ameryce to zrobili!” - to nie jest pierwszy tego typu musical, nad którym pracuję. Nota bene, zaczynałem w Gdyni od jednej z największych legend musicalowych, czyli „West Side Story” w 1992 roku. Byłem młodym absolwentem wydziału reżyserii w szkole teatralnej i mierzyłem się od razu, na zaproszenie Jerzego Gruz, z jednym wielkim fenomenem musicalowym. Niejednokrotnie miałem do czynienia z takimi tytułami w Gdyni i zawsze wychodziliśmy z tarcią. Mam nadzieję i wiarę, że tym razem będzie tak samo. Robimy swoje, mając w tyle głowy, że trzeba się do tej roboty przyłożyć.

W „Something Rotten” kuzyn słynnego Nostradamusa mówi, że musical będzie największą sensacją teatru przyszłości. Czy tak się właśnie pana zdaniem stało? Musical zrewolucjonizował świat teatru?

Chyba nie zrewolucjonizował, ale na pewno stał się odrębnym gatunkiem scenicznym. Musical radzi sobie od ponad stu lat, wytwarzając własne środki scenicznego przekazu, charakterystyczne tylko dla tego gatunku. Myślę, że jest najszybciej rozwijającą się formą teatralną - mieści w sobie elementy teatru stricto dramaturgicznego, ale i opery. Mamy w nim do czynienia z elementami tanecznymi, a zatem mówimy też o balecie. W związku z tym jest to najtrudniejszy gatunek teatralny, który zarówno od twórców, jak i, przede wszystkim, od aktorów, wymaga bycia artystą kompletnym. Reżyser spektaklu z kolei może nie musi mieć umiejętności dyrygenta, ale powinien umieć odczytać partyturę, a przynajmniej być pełnoprawnym partnerem dla kierownika muzycznego, musi umieć rozmawiać z choreografem językiem tańca, etc. Musical zatem może nie zrewolucjonizował, ale dopełnił wszystkie dotychczasowe formy teatralne i, jak wiemy, jego rozwój przebiega znakomicie. Wbrew temu, co mówiono - że musical się kończy, zaczyna zjadać własny ogon. Na świecie pojawiają się nowe, świeże tytuły, przyciągając rzesze widzów.

Czyli musical wciąż ma się świetnie?

Najlepszym dowodem na żywotność i atrakcyjność tej formy jest to, że właśnie musical na Broadwayu i West Endzie najszybciej podniósł się po pandemii i to na niego najliczniej wrócili widzowie. Właśnie przyjechałem z Londynu, dokąd wybrałem się, żeby zobaczyć nowe, świeże tytuły i wróciłem ciekawie naładowany energią, ponieważ wszystkie teatry pękały w szwach. Około 19:00 cały West End, a to jednak ogromne kwartały Londynu, wypełniły ogromne ilości osób, które, przechodząc, że tak powiem, przez szybką szklankę piwa w pobliskich pubach, wypełniły następnie tłumnie sale teatralne.

Oglądanie przedstawień niewątpliwie karmi pana proces twórczy. Czy jest coś jeszcze, co szczególnie upodobał pan sobie w kontekście inspiracji?

Żeby realizować spektakl w teatrze, w dowolnym gatunku, muszę mieć poczucie jednej rzeczy - że będę miał przyjemność z wykonywania tej pracy. Jestem reżyserem, to jest mój wykształcony zawód, tak jak bycie maszynistą, informatykiem, górnikiem. To umiem robić, mam na to papiery, jestem rzemieślnikiem teatralnym. Cieszę się, że póki co mam możliwość wyboru, pracuję w teatrach, które mnie zapraszają i gdzie jestem mile widziany. Mogę pochylić się nad tytułami, które sprawią mi frajdę, intelektualną i emocjonalną przygodę z czytaniem i pisaniem, to jest mój wyzwanie. Nawet jeżeli pracuję nad poważnym czy smutnym materiałem, to mówię o emocjach typu „fun”, sprawia mi to radość, jakkolwiek dziwnie to brzmi. Nie wyobrażam sobie, że mogłoby być inaczej.

Powróćmy do „Something Rotten” - czy ta osadzona w XVI-wiecznych realiach opowieść o show biznesie znajduje odniesienie w tym, jak postrzegamy ten rynek dzisiaj?

W pewnym sensie człowiek się tak naprawdę nie zmienił, zmieniły się okoliczności, środki przekazu i tempo docierania do odbiorców na całym świecie. Nie zmieniła się natura ludzka, nasze aspiracje i sposoby ich realizowania - czasem mniej lub bardziej humanistyczne, czasem obrzydliwe lub piękne. Bardzo ciekawie w „Something Rotten” pokazany jest na przykład Szekspir, pełen zawiści, uprzedzeń i takich małych „emocyjek”. Nie jest postacią posagową, a normalnym człowiekiem, który również zazdrościł, nienawidził. Wszystkich łączy w spektaklu jedno - miłość, zawiść, potrzeba piękna, wyrażania emocji. Tak naprawdę w XVI i XVII wieku, show biznesu nie było. Pamiętajmy, że Szekspir nie działał w próżni, ma Johna Webstera i Benę Jonsona, oraz paru innych wielkich twórców z różnych dziedzin artystycznych, którzy konkurowali, zabiegali o publiczność.

Niełatwo jest pomyśleć o Szekspirze, jak o osobie zaangażowanej w show biznes...

Wiele lat temu uświadomiłem sobie pewną rzecz: w czasach współczesnych Szekspir uważany jest do dziś hermetycznym autorem, kojarzonego ze sztuką wysoką. Często, kiedy zapyta się potencjalnego widza, czy pójdzie na spektakl Szekspira, on powie: „nie, to dla mnie za trudne...” - bo tak te spektakle są realizowane. Pamiętajmy, że w czasach szekspirowskich w teatrze Globe 90% widowni stanowili najprostszy ludzie nie potrafiący czytać ani pisać. To była ta sól ziemi, dla której pisał Szekspir. Oni stali blisko sceny, oglądali spektakle i wzruszali się, rozumieli tę sztukę. On nie pisał dla Thomasa Moora czy Francisca Bacona, czy nawet dla królowej lub lordów - choć akurat z ich inteligencją i erudycją bym nie przypomniał taką opowieść: w tamtych czasach zdarzały się przypadki, że oglądając spektakle, złoczyńcy, złodzieje, przyznawali się do winy. Byli w stanie pod wpływem tego, co dzieje się na scenie, przeżyć pewnego rodzaju katharsis, poczuć potrzebę wyrażania swoich emocji. To jest opisane w kronikach, takie rzeczy się działy. Dziś to się zmieniło, myślę, że w teatrze takie rzeczy by się nie zdarzyły, choć idziemy tam zarówno po to, że, żeby się pośmiać, ale też by emocjonalnie się oczyścić i może to wciąż dzieje się w mniejszym stopniu. To jedno szeroko rozumiane sztucznej inteligencji wisi nad nami i puka do naszego teatralnego domku. Zawsze będziemy operować na ludzkich emocjach, uczuciach, to będzie tożsame dla wszystkich form - dla musicalu mam nadzieję również.

Powiedział pan, że właśnie w Gdyni widział potencjalną realizację „Something Rotten”. Zdaje się, że lubi pan tutaj wracać?

Przed wszystkim urodziłem się w Gdyni i 18 pierwszych lat życia spędziłem tutaj, po maturze zdałem do Akademii Teatralnej w Warszawie i tam już zostałem. Do Gdyni wracam zawsze z ogromną radością, nie tylko dlatego, że stąd pochodzę, ale dlatego, że to jest potencjalnie najlepszy teatr musicalowy w Polsce. Pozwala na wystawienie właściwie każdego musicalu, który do tej pory wydarzył się na świecie, i to nie tylko ze względu na warunki sceniczne, ale też pod względem jakości zespołu. Nie kadzę teraz moim młodszym kolegom - reżyserowałem tu już m.in. wspomniane „West Side Story”, „Ghost”, czy „Gorączkę sobotniej nocy” i wielką frajdą było móc realizować swoje pomysły w teatrze, który daje takie możliwości. Teatr Muzyczny w Gdyni, nie obrażając oczywiście żadnego z pozostałych w Polsce, łączy doskonale warunki sceniczne z potencjałem osobowym i twórczym. To chyba najlepszy teatr dający największe możliwości, jeśli więc mam tylko możliwość i otrzymuję zaproszenie, to zawsze chętnie tu wracam. Mam wielką nadzieję, że „Something Rotten” nie będzie ostatnim spektaklem, który tutaj wyreżyseruję.

Tomasz Dutkiewicz
Aktor i reżyser teatralny. Absolwent Wydziału Aktorskiego i Wydziału Reżyserii na PWST w Warszawie. Ponadto studiował polonistykę, religioznawstwo oraz filozofię na Uniwersytecie Warszawskim i filozofię w Colegium Civitas. W latach 1988-1992 był aktorem Teatru Współczesnego w Warszawie. W latach 1999-2005 był dyrektorem naczelnym i artystycznym Teatru Polskiego w Bielsku-Białej. Zagrał Gustawa-Konrada w Dziadach, Stanleya w Tramwaju zwanym pożądaniem T. Williama oraz Valmonta w Niebezpiecznych związkach Ch. Lacolsa. Wyreżyserował ponad 100 spektakli, w tym kilkanaście musicali, m.in.: West Side Story, High School Musical, Piaf, Carmen Latina, Boyband, Tarzan, Rocky Horror Show, Zorro, Duch, Pierwsza randka, Gorączka sobotniej nocy, The Big Bang Musical, Atrakcyjna wdowa. Współpracował jako reżyser z kilkudziesięcioma teatrami w Polsce i za granicą. Ma na koncie dziesiątki ogólnopolskich nagród artystycznych, w tym nagrodę za całokształt działalności artystycznej i menagerskiej. Od 2006 roku jest dyrektorem Teatru Komedii w Warszawie.